

Zdzisław Stasiak

Studencki październik

56

w relacjach uczestników

Czy nie wiesz, o co nam chodziło?

SPIIS TREŚCI

PRZEDMOWA	5
POCZĄTKI ŁODZI AKADEMICKIEJ	9
ZWIĄZEK MŁODZIEŻY POLSKIEJ	15
ZACZYNAŁ SIĘ FERMENT.	21
„PO PROSTU”	26
CO ROBIĆ?	44
CO ROBIMY?	61
CO ROBIĆ DALEJ?	67
ZWIĄZEK MŁODYCH DEMOKRATÓW (1956–1957).....	75
REWOLUCYJNY ZWIĄZEK MŁODZIEŻY	79
MANIFESTACJA I WIEC W ŁODZI	84
ZWIĄZEK MŁODZIEŻY SOCJALISTYCZNEJ	100
POLITYCZNY OŚRODEK LEWICY AKADEMICKIEJ	102
RADY ROBOTNICZE	107
ROZMOWY.....	126
Z Jerzym Klechtą rozmawia Andrea Dymus	126
Z Janem Krysińskim rozmawia Andrea Dymus.....	131
Z Mieczysławem Franciszkiem Rakowskim rozmawia Emilia Przybył i Zdzisław Stasiak	137
Wspomnienia Jerzego Scheura	171
Wspomnienia Jerzego Turskiego spisane przez Paulinę Codogni – autorkę <i>Roku 1956</i>	175
Z Leszkiem Skrzydło rozmawia Andrea Dymus.....	179
Z Andrzejem Wilczkowskim rozmawia Andrea Dymus.....	188
<i>Kabaret na broń</i> – wywiad z Tadeuszem Wolańskim	191
Ze Stanisławem Hofmokl rozmawia Anna Tamecka.....	196

DOPISEK	204
KALENDARIUM	217
SŁOWNICZEK	223
OZNACZENIA	237
ANEKS	238
BIBLIOGRAFIA	238
INDEKS NAZWISK	246

PRZEDMOWA

Dociekanie: kim jesteśmy, jaka jest nasza prawda, do czego mamy dążyć – musi się skończyć fiaskiem. Gdyż nie w intelektualnych analizach, a w działaniu – działaniu solidnie wspartym na pierwszej osobie liczby pojedynczej – kryje się odpowiedź. Chcesz wiedzieć, kim jesteś? Nie pytaj. Działaj. Działanie cię określi i ustali. Z działania swojego się dowiesz. Ale działać musisz jako „ja”, jako jednostka, bo tylko własnych potrzeb skłonności, namiętności, konieczności możesz być pewny. Tylko takie działanie jest bezpośrednie, jest prawdziwym wydobywaniem siebie z chaosu, autostwarzaniem. Reszta – czyż to nie recytowanie, wypełnianie schematów, tandeta, kicz? (Witold Gombrowicz, *Dzienniki 1957–1961*, Kraków 1989, s. 162).

Łódź stała się w latach 40. przytuliskiem dla aktorów, muzyków, uczonych, pisarzy, poetów, tych, którzy nie mieli gdzie osiąść po wysiedleniach czy przesiedleniach. Warunki mieszkaniowe, jakie „po wyzwoleniu” zaistniały w Łodzi, predestynowały miasto do przyjęcia imigrantów.

Dla Rzeszy Niemieckiej sprowadzono do Łodzi ok. 40 tys. urzędników średniego i wyższego szczebla, zapewniając im nie tylko biura, ale i mieszkania o najwyższym standardzie, uzyskane z wysiedleń łódzian – część z nich nie powróciła (Żydzi). Ogólna liczba mieszkańców Łodzi zmalała o około pół miliona. W 1939 roku liczba ta wynosiła ok. 800 tys., w 1945 – 300 tys., ale już w 1946 roku wzrosła do 502 27. Od 10 grudnia 1944 r. do 19 stycznia 1945 r. Łódź opuściło ponad 60 tys. mieszkańców (Niemcy)¹; zwolniły się dalsze mieszkania. Miasto, które nie miało wyższych uczelni, uruchomiło osiem szkół wyższych; zaczęło grać osiem teatrów; w kawiarni gmachu „Czytelnika” z Borejszą można było spotkać całą plejadę pisarzy i poetów.

Większość traktowała Łódź jak epizod niewarty wspomnienia, co widzimy w wielu artystycznych autobiografiach. Albo słyszymy: szkołę ukończyłem w Łodzi, ale miasta nie znałem, nie lubiłem, ale jak zobaczyłem film Leszka Skrzydło *Pałace ziemi obiecannej*, to uświadomiłem sobie, jakie panują tutaj możliwości.

Tak zaczęła się praca nad *Ziemią obiecaną*. Ale jeden film nie przemienił stosunku do miasta. Nie było i nie ma zintegrowanego środowiska. Łódź była i jest dla szczęśliwców sypialnią Warszawy. Nie sprzyjało to tworzeniu się środowisk, które by w czasach niespokojnych mogły odegrać jakąś rolę. Najbardziej zintegrowane środowiska studenckie tworzyły akademiki. Historycz-

nymi związkami międzyludzkimi mogły poszczycić się środowiska dzielnicowo-robotnicze, w których można było zdobyć popularność i poparcie.

Obecność młodzieży akademickiej zaznaczyła się w mieście po raz pierwszy w grudniu 1945 roku pogrzebem studentki zamordowanej w parku, który przerodził się w wielką manifestację².

Fakty z października 1956 roku są dość dowolnie opisywane. Niektóre z nich przypomnimy, wzbogacając je wypowiedziami uczestników wydarzeń. Założenia co do formy publikacji ulegały zmianom. Próba wyjaśnienia epizodu z życia młodzieży łódzkiej na przełomie lat 1956–1957 w oparciu o indywidualne wspomnienia okazała się formą nieczytelną. Różne kręgi wytworzyły materiał niespójny, szczególnie dla przyszłego czytelnika, żyjącego w odmiennych realiach. Należało przygotować niejako przewodnik po indywidualnych wspomnieniach. Sprostować ponadto nieścisłości, jakich namnożyło się w przekazach historycznych.

Przypominam obrazy początków Łodzi akademickiej i zapał, z jakim i pedagodzy, i studenci pracowali, tworząc swoje przyjazne otoczenie dla studiujących i przybywających na łódzkie uczelnie – pisał o tym „Bratniak”. Wkrótce okazało się, że ci aktywni nie są u siebie, że nakładają im jakieś niezrozumiałe rygory, aby zostać wciśniętym w chochoły taniec głupoty, kłamstwa oraz kpiny z logiki i zdrowego rozsądku, czyli upaństwowić tradycyjne inicjatywy studenckie.

Zaczyna rodzić się odruch samoobrony, nie zawsze uświadomiony. Takie znamiona ma rozwój na UŁ teatrzyku studenckiego „Dyliżans”³. Studenci twórczo i „dialektycznie” jakoś zaczęli wydobywać się z tego koszmaru. Mieli jednak malejący współudział grona profesorskiego; tam „szło nowe”. Politechnika też miała nową ideologię: wykłady z marksizmu oraz program rozrywkowy – chór uczelniany z kantatą o Stalinie.

Jeszcze pod koniec czerwca, przed wakacjami na politechnice w audytorium Sołtana odbył się pożegnalny wykład marksizmu. Magister Adam Leśniewski, który wykladał marksizm, odwołał z całą szczerością wszystko to, co wykladał. Stwierdził, że to jest nic nie warte, że on się wszystkiego wypiera, a wykladał to, bo musiał. Marksizm już potem nie wrócił na politechnikę. Była za to ekonomia polityczna (Jan Krysiński – *Rozmowy*).

Wydaje się to nieprawdopodobne! Musieliśmy żyć jeszcze ponad 30 lat w tej „nic nie wartej rzeczywistości”.

Nowo powstała (8 stycznia 1957 r.) Federacja Studenckich Teatrów Satyrycznych doliczyła się ich czternastu, w poprzednim roku na przegląd do

Wrocławia przyjechały cztery; a ile powstało małych estrad, klubów i tworów studentów i młodej inteligencji...

Opracowanie niniejsze nie pretenduje do monografii ruchu studenckiego, a składa się z relacji uczestników oraz artykułów i doniesień prasowych, które mają oddać atmosferę tamtych dni w różnych środowiskach studenckich. Niewiele wiemy o poglądach, były one bardzo różne. Październik zarysował różne obszary działań również indywidualnych, na odmiennych drogach, mogących doprowadzić do wspólnego celu, który wówczas był bardzo mglisty. Jego wyartykułowanie mogło nastąpić w sprzyjających okolicznościach dopiero po 1989 roku.

Przypisy

¹ Dane statystyczne z: Adama Ginsberg, *Studium monograficzne*, Łódź 1961, s. 190–191.

² „Przyjeżdżają ubowcy. Po rozmowie ustalają, że pogrzeb odbędzie się o godzinie 5 rano. W tym samym czasie grupy studentów porozbiegały się po uczelniach, zwołując kolegów i koleżanki na Julianów. Wykłady przerwano. I to nie tylko na uniwersytecie, ale i na politechnice, i w Wyższej Szkole Handlowej, więc młodzież, w liczbie dwóch tysięcy, znalazła się przy kostnicy. Młodzi ludzie byli agresywni. Przedstawiciele „Bratniaka”, mając w ręku zgodę prokuratora, domagali się kategorycznie wydania zwłok. Istotnie, około godziny 18 otrzymali je. Wtedy uformował się samorządnie pochód, który w milczeniu zaczął się posuwać głównymi ulicami miasta. Studenci nieśli na ramionach, w zupełnym milczeniu, białą trumnę z ciałem koleżanki. Po drodze pożyczili z kościoła NMP na Nowym Mieście krzyż żałobny i dwie czarne chorągwie. I tak przez ulice: Zgierską, Nowomiejską i Piotrkowską dotarli do kościoła akademickiego. [...] Rano, tuż przed godziną 10, tłumy studentów wypełniły kościół. Po mszy świętej rusza kondukt. Studenci niosą krzyż i dwie chorągwie. Za nimi kilka osób z wieńcami. A co zaskakuje wszystkich – to obecność orkiestry Szkoły Zawodowej Włókienniczej z ul. Żeromskiego. Za orkiestrą sześciuosobowe delegacje studentów z każdej z uczelni. Oprócz trzech głównych: uniwersytetu, politechniki i Wyższej Szkoły Handlowej, są i z konserwatorium. Przed trumną idzie czterech księży: o. superior, o. Stawski, o. Tomaszewski w komżach i ja [T. Roztworowski] w kapie. Za nami studenci z trumną na ramionach, za trumną matka, podtrzymywana przez znajomych. A potem nieprzebrany pochód studentów, ustawiony szóstkami i uczelniami: najpierw uniwersytet, po nim politechnika, dalej Wyższa Szkoła Handlowa i reszta. Około sześciu tysięcy młodzieży! Wychodzimy w ul. Piotrkowską, a następnie mamy skrócić w lewo, w ul. Zamenhofa. Czoło jednak staje i chce iść naprzód. Orkiestra gra marsza żałobnego, ja, stojąc na zakręcie ul. Roosevelta i widząc wahania, milczę i modłę się. Milicja nakazuje skrócić. Studenci uparcie stoją w miejscu, zwróceniu twarzą w kierunku pl. Wolności. Wreszcie spośród tłumnie gromadzącej się publiczności zaczynają padać okrzyki: – Prosto, prosto! – A do milicji: – Gdzieście byli, jak ją zabijali?! – Prosto, prosto!

Milicja ustępuje i kondukt idzie wzdłuż Piotrkowskiej. Tramwaje stoją. Ludzie fotografują z balkonów ten jedyny w swoim rodzaju pogrzeb (fotografie te później milicja konfiskowała). Po drodze myślę, że trzeba będzie na cmentarzu coś powiedzieć. Na zakręcie przed cmentarzem drogę zagradza uzbrojone w pepesze wojsko, które zaraz za trumną tworzy kordon,

oddzielający ją od tłumu studentów i niewpuszczający ich na cmentarz. Do grobu mieli dostęp tylko najbliżsi i delegacje z wieńcami oraz te sześciuosobowe grupy studentów, co szły za orkiestrą, a więc niewiele osób. Przemawia rektor Kotarbiński, akcentując, że protestuje przeciw notatce, która ukazała się w prasie, jakoby senat akademicki potępił wybryki paniczek wśród studentów. Oświadcza, że o takiej uchwale senatu nie było mowy. Po nim zabiera głos student, a po studencie ja. Mówię o tym, że szkoda każdej jednostki. Dość już się wykrwawiliśmy. Wzywam do spokoju, godności i skupienia się w sobie, by służyć Bogu i Polsce. Jednakże nastroje wśród studentów pozostających za obrębem cmentarza stają się coraz gorętsze” (O. Tomasz Roztworowski TJ, *Szerzyć królestwo. Wspomnienia i dzienniki 1939–1972*. Warszawa 2002, s. 165–167).

³ „Dylizans” – protoplasta „Pstrąga”.

POCZĄTKI ŁODZI AKADEMICKIEJ

Ustawa o wychowaniu publicznym w Królestwie Polskim zatwierdzona przez cesarza Aleksandra II dnia 20 maja 1862 roku tworzyła Instytut Politechniczny i Rolniczo-Leśny w Puławach. Reskrypt cesarski z 11 września 1864 roku przewiduje przeniesienie projektowanego Instytutu Politechnicznego z Puław do miasta Łodzi. Dyr. Komisji Rządowej Oświecenia Publicznego Witte pragnął jak najszybciej wypełnić cesarską wolę. W 1865 roku był już przygotowany budynek zastępczy do podjęcia zajęć oraz w kwadracie ulic Nawrot, Kilińskiego, Przejazd, Sienkiewicza przygotowano teren pod budowę budynków szkolnych. 13 kwietnia 1866 roku złożono w Warszawie projekt ustawy o powołaniu Instytutu Politechnicznego w Łodzi, zawierający jego program, budżet, plany budowy itp. Wydano już kilkanaście tysięcy rubli pochodzących ze składek i budżetu miasta. W międzyczasie jedną z represji powojennych była likwidacja Komisji Rządowej Oświecenia Publicznego. Zmieniono politykę Petersburga i projekt upadł⁴.

Ale Łódź nie zamierzała zrezygnować z politechniki. Rozumnym uporem i konsekwencją postępowania władze miejskie osiągnęły to, że w dniu 24 maja 1945 roku została dekretem Politechnika Łódzka. Rektorem organizatorem uczelni mianowano profesora Politechniki Warszawskiej – doktora Bohdana Stefanowskiego⁵.

Tak wspomina te lata A. Dorabalska:

Profesora Stefanowskiego znałam dobrze nie tylko jako uczonego, ale i jako człowieka. Jeszcze w roku 1924 byliśmy razem na dwutygodniowej wycieczce politechnicznej w Anglii na wystawie w Wembley. Profesor Stefanowski był kierownikiem tej wycieczki i szybko dał się nam wszystkim poznać jako świetny i przemyślny organizator. Gdy (teraz przeszło po dwudziestu latach) profesor Stefanowski zwrócił się do mnie z propozycją objęcia katedry na Politechnice Łódzkiej, nie zawahałam się ani przez chwilę. Byłam pewna, że ten człowiek potrafi stworzyć ośrodek wartościowej pracy naukowej, zrozumie potrzeby i zadania życia akademickiego. I tak związałam dalsze moje lata z Łodzią.

W czerwcu odbyły się pierwsze posiedzenia Senatu i Rad Wydziałowych Politechniki Łódzkiej. Rektor Stefanowski zorganizował wszystko według zasady arki Noego. Wybrał po dwóch profesorów każdego wydziału na zarybek. Załadował nas do auta ciężarowego w Warszawie

i wysypał na Wodnym Rynku w Łodzi przed pałacem Scheiblera (obecnie Muzeum Kinematografii).

Pierwsze wrażenie było oszałamiające. Po ruinach i zgliszczach Warszawy – piękny park pełen wiosennej zieleni i śpiewu ptaków. Kwitną bzy i magnolie. I czekały na nas gościnnie otwarte drzwi pałacu. A wewnątrz każdy znalazł ładny, widny pokój, czysto zasłane łóżko i niezrujnowaną łazienkę z wodą w kranie. Czy ktoś dziś potrafi zrozumieć, czym wówczas dla warszawiaka była czysta pościel i woda w kranie? A na domiar rozkoszy zaproszono nas wkrótce na prawdziwy obiad i poinformowano, że wszyscy pracownicy politechniki wraz z najbliższymi rodzinami będą otrzymywali bezpłatne śniadania, obiady i kolacje. Stało się to możliwe dzięki temu, że Politechnika Łódzka otrzymała w darze dwa pobliskie majątki ziemskie, Puczniew i Mianów, których produkcja rolna i ogrodnicza pozwalała wyżywić dużą nawet gromadę ludzi.

Na posiedzeniu Senatu uchwaliliśmy podstawy organizacyjne trzech wydziałów: mechanicznego, elektrycznego i chemicznego. Opracowane zostały wykazy katedr, które należało natychmiast obsadzić i zgłosić kandydatury do ministerstwa.

Nazajutrz w parku na ławeczce pod kwitnącą magnolią odbyło się pierwsze trzyosobowe posiedzenie rady wydziału chemicznego Politechniki Łódzkiej. Parą, stanowiącą „zarybek” wydziału, byliśmy we dwoje z profesorem Osmanem Achmatowiczem. Znaliśmy się od młodych lat. Profesor Achmatowicz był umiłowanym uczniem profesora Kazimierza Sławińskiego. Lata młodości spędził na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. W okresie asystentury wyjechał na studia do Oksfordu do laboratorium sir Roberta Robinsona, laureata Nagrody Nobla. Tam zdobył doktorat. Przed wojną, w 1934 roku osiadł na Uniwersytecie Warszawskim, w Katedrze Chemii Farmaceutycznej. Widywaliśmy się stale na terenie Polskiego Towarzystwa Chemicznego. W Łodzi zgodził się objąć Katedrę Chemii Organicznej.

Oboje z profesorem Achmatowiczem ustaliliśmy, aby za naszego dziekana uznać ostatniego przedwojennego dziekana wydziału chemicznego macierzystej Politechniki Warszawskiej. Był nim profesor Tadeusz Wojno, długoletni kierownik Katedry Mineralogii i wielokrotny dziekan na Wydziale Chemicznym stołecznej politechniki. Tak więc trzecie – a raczej pierwsze – miejsce pod magnolią zajął profesor Wojno.

Uzgodniliśmy łatwo propozycje obsady katedr. Łódź, wielki ośrodek rozwoju przemysłu włókienniczego, musiała oczywiście posiadać

poważnego i prężnego kierownika Katedry Technologii Włókien i Farbiarstwa. Z trzech ust padło natychmiast nazwisko profesora Edmunda Trepki, kolorysty światowej sławy, w latach 1919–1925 profesora Politechniki Warszawskiej, a następnie do chwili wybuchu wojny najwybitniejszego reprezentanta polskiego przemysłu chemicznego za granicą.

Na Katedrę Technologii Kauczuków i Mas Plastycznych postanowiliśmy zaprosić doktora Stanisława Kielbasińskiego, wybitnego znawcę kauczków naturalnych i sztucznych.

Podstawową, wielką Katedrą Chemii Nieorganicznej, przeładowaną obowiązkami dydaktycznymi, obciążyliśmy młodego wówczas doktora Edwarda Józefowicza, docenta Politechniki Warszawskiej, zasłużonego w pracy okupacyjnej na tajnej politechnice.

Tak więc z miejsca nasza rada wydziału stała się już sześćoosobowa. Byleby tylko nikt nie odmówił! Ale starzy przyjaciele, wierni koledzy nie odmówili. Należało tylko przybyć do Łodzi i zacząć nowy rozdział życia.

Z konieczności powstały pewne zmiany w naszych pierwotnych projektach. Profesor Achmatowicz został prorektorem Politechniki Łódzkiej. Profesor Wojno nie mógł być długo naszym dziekanem, bo dopominała się o niego Warszawa. Toteż przez najbliższe lata akademickie dojeżdżał jedynie na wykłady do Łodzi. Dziekanem Wydziału Chemicznego zostałam ja.

Przyjechałam z matką do Łodzi w dniu 1 sierpnia 1945 roku. Wiozło nas politechniczne, zdobyczne auto ciężarowe, rozklekotany gruchot, który co kilkanaście kilometrów musiał stawać na parę minut, aby odpocząć. Szosy były jeszcze puste, martwe. Od czasu do czasu przysiadali się do nas żołnierze radzieccy.

Na Wodnym Rynku w pałacu Scheiblera byli już państwo Stefanowscy, dzielny nasz kwestor – pani Wanda Birzysko, i profesorostwo Tołłockowie z Wydziału Mechanicznego. Wkrótce zaroilo się w domu, bo zjechali z Częstochowy państwo Achmatowiczowie z córką i dwoma kilkunastoletnimi synami. Później zamieszkali z nami państwo Kotlewscy, Chwalibogowie i matematyk profesor W. Pogorzelski. Wspólne posiłki, łazienka, kuchnia, konieczność stałego kontaktu zaczęły z nas stwarzać rodzinę z prawdziwego zdarzenia. Taka rodzina we wspólnym mieszkaniu stanowi wielkie dobro. Gdy w życiu codziennym spotkają się na dłużej obcy sobie ludzie, mają do wyboru tylko dwie ewentualności: znienawidzić się albo żyć jak w rodzinie. My wówczas – i później w czternastoletnim pożyciu w jednym miesz-